



ANTON CZECHOW

---

# Kameleon

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANTON CZECHOW

## Kameleon

TŁUM. A. W.

Przez rynek idzie przodownik policji Oczumielow, w nowym płaszczu, z zawiniątkiem w ręku. Za nim kroczy rudy posterunkowy, niosąc sito, po brzegi napelnione skonfiskowanym agrestem... Cicho naokoło... Na rynku ani żywej duszy... Rozwarte drzwi sklepów i szynków spoglądają na świat Boży, jak zgłodniałe paszcze, nawet żebraków nie ma koło nich.

— To ty będziesz kąsać, przekłęty! — słyszy nagle Oczumielow. — Trzymajcie go. Teraz nie wolno kąsać! A... a!

Słychać skowyczenie psa, Oczumielow ogląda się i widzi, że ze składu drzewa kupca Pieczugina, skacząc na trzech łapach i oglądając się, pędzi pies. Za nim goni człowiek w kretonowej krochmalonej koszuli i rozpiętej kamizelce. Biegnie za nim, pochyła się ku przodowi, pada i łapie psa za tylne nogi. Znowu daje się słyszeć skowyczenie i okrzyk: — „Łapaj!” — Ze sklepów wysuwają się zaspane fizjonomie i wkrótce koło składu drzewa, jak wyrosły spod ziemi, zbiera się tłum.

— Coś jakby nieporządek, Wasza Wielmożność — mówi posterunkowy, Oczumielow robi pół obrotu w lewo i kieruje się w stronę tłumy. Widzi, że u samych wrót składu stoi wyżej wspomniany człowiek w rozpiętej kamizelce i podniósłszy do góry prawą rękę, pokazuje tłumowi skrawiony palec. Na jego wółpijanej twarzy jakby kto wypisał: — „Już ja cię obrobię, szelmo!” — a sam palec wygląda, jak sztandar zwycięstwa. W człowieku tym Oczumielow poznaje jubilera Chriukina. W środku tłumy, rozkroczywszy przednie nogi i drżąc na całym ciele, siedzi na ziemi sprawca skandalu, biały, młody chart, z zaostrzoną mordą i żółtą plamą na plecach. Jego łzawiące się oczy wyrażają ból i przerażenie.

— Z jakiej przyczyny to wszystko? — zapytuje Oczumielow, wciskając się w tłum. — Co wy tu robicie? Po co ten palec?... Kto krzyczał?

— Idę sobie, Wasza Wielmożności, nikogo nie czepiam... — zaczyna Chriukin, kaszłąc w kułak — z Mitriem Mitriczem wedle drzewa, a wtem, nagle, ten podły, ni stąd, ni zowąd, cap za palec. Jestem, za przeproszeniem, człowiek pracujący... Robotę mam drobną. Niech mi teraz zapłacą, bo ja tym palcem może przez tydzień nie będę mógł ruszyć... Tego w prawie nie ma, żeby znosić od byle stworzenia... Jeżeli każdy będzie kąsał, to lepiej nie żyć na świecie.

— Hm!... Dobrze... — mówi Oczumielow, surowo kaszłąc i marszcząc brwi. — Dobrze... Czyj to pies? Ja tego nie daruję. Ja wam pokażę, co to znaczy tak rozpuszczać psy! Czas nareszcie zwrócić uwagę na tych panów, którzy nie chcą się stosować do przepisów. Jak na niego, łajdaka, karę nałożę, to zobaczy, co znaczy pies i inny tego rodzaju błędny zwierz. Ja go nauczę!... Jeldyrin — zwraca się przodownik do posterunkowego — dowiedz się, czyj to pies i pisz protokół! A psa trzeba zgładzić! Bezwłocznie! Na pewno wściekły... Czyj to pies, pytam się?

— To, zdaje się, generała Żygałowa — mówi ktoś z tłumy.

— Generała Żygałowa? Hm... — Jeldyrin, zdejm ze mnie palto... Strasznie gorąco. Zapewne na deszcz. Tego tylko nie rozumiem, jak ten pies mógł ciebie ugryźć? — zwraca się Oczumielow do Chriukina. — Czyż on może dosięgnąć do palca? On jest mały, a z ciebie — ot jaki drab! Prawdopodobnie skaleczyłeś sobie palec o gwóźdź, a potem przyszła ci myśl do głowy, żeby zarobić na tym interesie. Znany jesteś! Znam was, czorty jedne!

— On go, proszę Waszej Wielmożności, papierosem w mordę dla żartu, a ten niegłupi — cap go... Niemądry człowiek, Wasza Wielmożności.

— Łżesz, jednooki! Nie widziałeś, więc czego łżesz? Jego Wielmożność jest człowiek uczony i rozumie, kiedy kto kłamie, a kiedy kto wedle sumienia, jak przed panem Bogiem... A jeżeli kłamie, to niech sędzia pokoju rozstrzygnie. U niego w prawie jest napisane... Teraz wszyscy są równi... Ja też mam brata żandarma, jeżeli chcecie wiedzieć.

— Nie rezonować!

— Nie, to nie generalski — rzekł poważnie posterunkowy. — U generała takich nie ma. On trzyma tylko wyżły.

— Wiesz na pewno?

— Na pewno, Wasza Wielmożności.

— Ja sam też wiem. Generał ma psy drogie, rasowe, a to — diabli wiedzą, co takiego! Ani sierści, ani wyglądu... słowem paskudztwo... I takiego psa trzymać?! Gdzie rozum? Gdyby się trafił taki pies w Petersburgu albo w Moskwie, to wiecie, co by było? Tam by się nie liczyli z prawem, lecz w jednej chwili — zgin! Ty, Chriukinie, ucierpiałeś i sprawy tej tak nie zostawiaj... Trzeba pokazać! Czas...

— A może i generalski — rozmyślał głośno posterunkowy. — Na mordzie nie napisane... Onegdaj widziałem taką psinę u niego na podwórku.

— Rozumie się, że generalski! — mówi ktoś z tłumu.

— Hm!... Włóż no mi palto, Jeldyrin... Wiatr skądciś powiał... Chłodno... Odprowadzisz go do generała i spytasz, czy to nie jego pies. Powiesz, że ja go znalazłem i przysyłam.. Powiedz też, żeby go na ulicę nie wypuszczali... Może to drogi pies, a jeżeli mu każda świnka będzie papierosem tykać w mordę, to nietrudno go zmarnować. Pies, to delikatne stworzenie... A ty, durniu, opuść rękę! Nie masz co swojego głupiego palca wystawiać na pokaz! Sam jesteś sobie winien.

— Oto idzie kucharz generała, jego się spytamy... Hej, Prochorze! Chodź no tu! Spójrz na psa... To wasz?

— Też wymyślił! Takich u nas nigdy nie było.

— Nie ma się co i pytać — mówi Oczumielow. — To włóczęga! Co tu dużo gadać... Jeżeli powiedziałem, że włóczęga, to włóczęga... — Zabić — i koniec.

— To nie nasz — ciągnie dalej Prochor. — Ten należy do brata generała, co do nas przyjechał. Nasz nie jest amatorem chartów. Co innego jego brat.

— Czyż brat generała przyjechał? Włodzimierz Iwanycz? — zapytuje Oczumielow — i całą jego twarz opromienia słodki uśmiech. — Masz tobie! A ja nic nie wiedziałem. Przyjechał w gościnę?

— W gościnę.

— Ach, mój Boże... Stęsknił się za bratem... A ja nic nie wiedziałem! Więc to jego piesek? Bardzo mnie cieszy... Weź go... Piesek niczego... Rezolutny taki... Cap tego draba za palec... Ha-ha-ha... No, czemu drżysz? Rrr... rr... Złości się, szelma... Delikacik!

Prochor woła psa i odchodzi z nim od składu... Tłum śmieje się z Chriukina.

— Jeszcze się do ciebie dobiorę — grozi mu Oczumielow i owinąwszy się w płaszcz, na nowo rozpoczyna wędrówkę po rynku.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kameleon>

Tekst opracowany na podstawie: Anton Czechow, Śmierć urzędnika, tłum. A. W., "Biblioteka Groszowa", Warszawa, 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marcin Lipiec.

Okładka na podstawie: [sean mason@Flickr](mailto:sean.mason@flickr), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0149-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).